

J. D.



~~926~~

his. w.

SŁOWO
O
ADAMIE ASNYKU

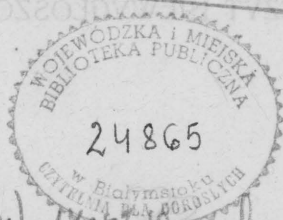
ODCZYT NIEWYGLOSZONY



WARSZAWA — KRAKÓW

1906

№ 1011. 1264 z.



821,162.1(081)-178 Ashyk Adam

10284

NAKLAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SP. W KRAKOWIE.

W jego...
niegdy...
nasz...
tak...
kawa...
Dziś...
po...
w...

Po śmierci kochać mnie będziesz
ty chłodna, milcząca rzeszo!

Od jego śmierci płynie dopiero rok dziewiąty.
Czyśmy go w »głębokim śnie otoczyli miłością
dusz promienną?« Czy on, który całe życie wal-
czył w sercu z chłodem i zmateryalizowaniem
swojej epoki, doczekał się po zgonie tej czci
i hołdu, z jakimi klęknąć powinniśmy przed
»cieniem jego przezroczystą białością?« Pochowa-
liśmy ziemskie jego szczątki w narodowym
Panteonie, zapisali imię jego złotymi głoskami
w Panteonie wielkich imion — i przeszliśmy nad
nim do porządku dziennego. Zarejestrowaliśmy
go w podręcznikach literatury między epigona-
mi romantyzmu, nieco wierszy jego, zwłaszcza
lżejszych wsunęli do salonowych wydań ulubio-
nych poezyj, zamianowaliśmy go lirykiem refle-
kcyjnym, prócz tego autorem miłutkich i wdzię-
cznych erotyków — ale wzruszeń i poezji wo-
limy szukać u rozczochranych, drapujących się

B

821,162.1(081)-178
R.104
23/2

w pióra sztuczności i »Weltschmerzu« modernistów, bliższych nam dzisiaj i oddających lepiej nastroje naszej skomplikowanej duszy, co już tak odbiegła od prostych myśli i uczuć Asnykowskich.

Doprawdy, czynimy sobie krzywdę! Dusza poety, choć jak lza przezrzysta, nie da się ująć w tak schematyczne rysy. Powinniśmy właśnie po wrażeniu wracać do niej zawsze. Ten człowiek, który zamknął w sobie całą myśl ostatnich dziesiątków lat zeszłego stulecia aż do najwyższych jej szczytów, ten człowiek jest dla nas arką przymierza między dawnymi a młodszymi laty, jest klamrą, łączącą romantyzm z czasów międzypowstaniowych poprzez pozytywizm z naszą myślą dzisiejszą. Serce jego związane było z epoką wielkich wzlotów z przed roku 63-go, życie pchnęło myśl w kierunku wręcz przeciwnym romantyzmowi, ale tęsknota do wewnętrznej harmonii kazała duszy »oprzeć się jak powój o idealną wiarę«, że »błyśnie dzień, w którym duch ludzki na nowo ożywi zeschnięty życia pień girlandą kwiecica różową«. A tak ten, który współczesnym swoim dał tyle rad szlachetnych, który całą taktykę narodową z okresu pracy organicznej zamknął w przepysznych sonetach, który śmiało nazwany być może nauczycielem narodu wobec swego pokolenia, on w tęsknocie ku przyszłości wyśpiewał pieśni, co mogłyby

być hasłami w naszej dzisiejszej walce o lepsze jutro i pobudkami dla idących »na święty o prawdę bój«.

Dlaczego Asnyk ma być epigonem romantyzmu, »zapóźnionym dawnych czasów widzem?« Zaliczyć go możemy równie dobrze do ostatnich śpiewaków doby wielkiego rozkwitu poezji polskiej, jak i do pierwszych, którzy szli z nowym duchem czasu, którzy go nawet wyprzedzali.

* * *

Światło dzienne ujrzał poeta w roku 1838, t. j. w epoce, gdy rzeczywiście romantyzm kroczył tryumfalnie przez ziemie polskie. Był niemal rówieśnikiem Pana Tadeusza i Irydyona, a już zupełnym rówieśnikiem Anhellego i Lilli Wenedy. Dziecko, za którym »od kolebki biegła czarodziejska baśń tęczowa«, mogło »duszę swoją pieścić jutrzeńką rajskich farb«. Był to czas, w którym bańka z poezją rozbiła się nad Polską; nie trzeba było idealnego świata szukać daleko, życie i poezja zrosły się wtenczas w naszym kraju, jak drugi raz nie było przykładu na świecie. Wtedy i w życiu i w nauce i w polityce »nurtem tajnych koryt płynęły na świat idealne mary«; serca młode były jednym tętnem miłości i bólu, »a rzeczywistość znikala

z przed oczu w gwiaździstym, sennem marzenia przezroczu«. Czyn, który się narodził z tego bólu i tej poezji, nazywa się rokiem 63-im.

I oto mamy oś główną w życiu duchowem Asnyka, najważniejszą datę w jego biografii, środek ciężkości jego myśli i uczuć, wypadek, który pchnie już z koniecznością dalszy rozwój w oznaczonym kierunku i zadecyduje o pesymizmie, zasadniczej strunie pieśni poety. On, ten rok, nada autorowi Kiejstuta fizyonomię ascety i z bolesną rezygnacją patrzącego na swą epokę myśliciela, jaką zachowa aż do śmierci »próżnych męczeństw przerażony widz«. Jaka była fizyonomia młodzieńcza studenta warszawskiej Akademii medycznej z okresu, poprzedzającego ten rok epokowy, wiedzą tylko ci, co go znali wówczas osobiście; własnością ogółu, społeczeństwa, jest dopiero Asnyk z czasu po roku 63-im, autor poezji i dramatów, oraz dla mniejszości Asnyk publicysta, wreszcie Asnyk obywatel Krakowa.

Spróbujmy jednak delikatnie uchylić nieprzejrzystej zasłony, a może ukaże się nam choć jeden rys z poetyckiego oblicza późniejszego autora »Nad głębiami«. Że był z upodobań literackich, z całej struktury duchowej skłonny do romantyzmu, że musiał z lubością wdychać wonie z ówczesnych bujnych a odu-

rzających kwiatów, o tem świadczy jeszcze cały pierwszy okres jego poezji popowstańczej, nastrojony na ton bohaterski, pełen uniesień, wykrzyków, przekleństw i tajemniczości. Wpływ tu znać szczególnie Słowackiego. Świadczy o tem n. p. wiersz »Do *«, nietyle odczuty, ile pisany wyraźnie na czyjś wzór, albo i umieszczenie Juliusza w »Śnie Grobów«, całym stworzonym pod urokiem »Króla Ducha« i Danta »Boskiej Komedyi«.

Jeżeli wpływ ten tak się silnie ostał jeszcze po wstrząśnieniach roku 63-go, które przeobraziły całą jaźń Asnyka, to w czasie gdy romantyzm był panem ducha polskiego, gdy zwracanie się »męczenników rwących się do czynu ku wieszczom, krwawiącym swe piersi łabędzie«, nie było odwracaniem się od nowych haseł, to w tym czasie wpływ ten, a raczej uwielbienie, musiało być jeszcze znamienniejsze.

Skłonność ku mistrzowi wyobraźni nie świadczyła jednak o powinowactwie duchowem Asnyka ze śpiewakiem »W Szwajcaryi«. Przeciwnie, Asnyk, romantyk z całego młodzieńczego poglądu na świat i z nastroju uczuciowego, wyobraźnią nigdy tak wysoko nad ziemię nie wznosił. On miał tylko poetyczne na świat spojrzenie, ale drugiego świata idealnych postaci, barwnej kanwy zdarzeń z siebie wysnuwać nie umiał. On duchem może bliższy był drugiego tytana pieśni polskiej: Zygmunta. Oba byli

poetami myśli. Krasińskiego jednak życie przypa-
dło na okres, gdy ta myśl mogła bujać dowolnie,
mogła się barwić w najcudniejsze pióra, mogła ze
swoich pojęć wznosić najróżnorodniejszej stru-
ktury najpiękniejsze gmachy, z wieżycami
strzelistymi, co zahaczały aż o niebo. Nad umy-
słami przez cały szereg lat unosił się duch
poetów, ona rzuciła wszystko do stóp swoich,
ona nawet siostrze swojej filozofii kazała się
ukorzyć przed swoim tronem. Poeta czuł się
władcą dusz, on miał prawo wołać: gardzę wami
wszyscy mędrcy i prorocy, jakich wielbił świat
szeroki! Za czasów Asnyka na myśl, bujającą
swobodnie po obszarach czasu i przestrzeni, na-
łożono pęta, kazano jej ugiąć się przed wszech-
władzą doświadczenia; opadły loty myślicieli,
a poeta, ta, co jeszcze wczoraj filozofii poda-
wała skrzydła, spadła do roli rozrywki po tru-
dach walki o życie. Ciężko musiało być na sercu
poecie, »co przeżył porę swą« i zdetronizowany,
obudził się nagle jako kopciuszek na gruzach
dawnego swojego królestwa. To też bolesne opa-
dnięcie obserwować możemy na wszystkich poe-
tach romantyków wobec nowych haseł, które
»zabrały idealnego świata uczestnictwo«, a zwa-
szcza ugięła się pod tym ciosem Żmichowska.
Ale Asnyk dopiero wtedy wchodził do gmachu
poetów, gdy innym ostatnie dni życia zamglili
»zmierzch melodyi«: on zaczynał właśnie samo-

dzielnie żyć, gdy »stopniał w łzach fantazy
gmach, zostały gruzy i zgliszcza«, dlatego wła-
śnie Asnyka nie można nazwać epigonem. Za-
późnionym dawnych czasów widzem był Ujejski,
który, »gdy kierunek zmieniła rwąca fala«,
»zamknął uszy na głos świata, własnej głębi
słuchał«, a jeżeli podniósł jeszcze kiedy swój
głos namaszczonej, to zawsze szła ku niebu
wspaniała, natchniona pieśń *largo maestoso*, labe-
dzi śpiew naszego romantyzmu.

Asnyk inaczej. On, gdy pierwszy paroksyzm
ból minął, miał dość siły, by powiedzieć sobie:
»trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać
nowe!« Ale to nie od razu. Gdy po raz pierw-
szy w poezji staje przed nami, jako podróżny,
którego zawierucha dziejowa rzuciła aż pod
»niebo południa palące« — jest on zboląły
w każdym fibrze duszy, na jego korze pęknię-
cie serca znać. »To, co ukochał, co tyle czcił,
zdeptane w pyle padło bez sił«, więc serce
ugięło się pod ciosem, i gdybyśmy zajrzeli w nie,
ujrzelibyśmy tylko ból, ból tak straszny, że
graniczący z beznadziejnością, rozpacz bezden-
na, przeświadczenie, że wszystko, co szlachetne
i wzniosłe, razem z klęską zeszło w grób na
wieki, że teraz życie utraciło już wszelką war-
tość, »została nędza, niemoc i strach«.

Taki stan ducha, choć pozostawił nie dające
się już nigdy zatrzeć rysy w duszy poety, nie

mógł przecie trwać wiecznie. Zbyt młodym był jeszcze wtedy ten rozbitek narodowej katastrofy, zbyt szeroki świat leżał przed nim, a on za wrażliwym był na jego zjawiska, aby nie znalazł jakiegoś źródła zainteresowania, coby myśl jego zwrócić mogło w inną stronę. Więc obok wierszy głęboko smutnych, obok skarg tak rzewnych, że poruszyć mogą do łez, są i takie, z których dostrzegamy, że poeta szuka dla siebie oparcia. Jest chwila, kiedy prawie nieprzytomny rzuca się pod stopy krzyża, i rozchyła przed Sędzią kielich swej duszy, błagając zlitowania. Głos jego brzmi w tym momencie prawie jak głos anioła, modlącego się nad omdlałym Konradem: »Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem i drogi życia przeszedłem cierniste«. I w trwodze, »by nie zejść z zwątpieniem w grób«, chyli się do stóp anielskich, zrzekając się szczęścia osobistego, byle wymodlić tryumf miłości, kupiony w łzach, i zobaczyć zmartwychwstające królestwo dusz.

Daremnie! Dusza, co w chwili prostracyi gotowa była ugiąć się przed potęgą, względem której zobojętniała w walkach młodzieńczych, ta dusza nie mogła wymodlić wizyi anielskiej. Gdy chóry niebiańskie uderzyły w tony pieśni nieziemskiej, gdy światłość zlewać się poczęła na olśnione oczy — nagle — morze czerwone płomieni, morze krwi męczeńskiej przesłoniło

okrutnie obraz. Pan zniknął z oczu i niebo Jego przepadło. Apostata na jedno mgnienie oka tylko uznał zwycięstwo Galilejczyka, serce nie mogło zgodzić się na »boski« porządek świata, myśl paląca szukała gdzieindziej rozwiązania zagadki, dlaczego święta sprawa przegrywa, a łupieżca rozsiada się w zdobytym gnieździe.

I oto ukazała się przed ascetą pocieszycielka, co położyła dłonie na jego sercu chorem, a on ze czcią przycisnął do ust skraj gwiaździstej jej szaty, — i teraz ukląkł przed tą, która na całe życie zostanie panią jego myśli i natchnieniem jego pieśni: przed wiedzą. Znalazł ostoję dla skolatanej duszy, »bo wszystko mija, prawda nie przeminie«. Ślicznie i z prostotą spowiada się:

Dusza, gdy przeboli

Raz wszystkie ziemskie cierpienia serdeczne,

Nie chce się nagiąć do znikomej doli,

I tylko sięga po to, co już wieczne.

Gdyby Asnyk przy swojej duszy poety nie miał zarazem mózgu myśliciela, widząc, jak się po ziemi wala ideału kwiat, byłby utonął w rozpacz, lub umilkł na wieki. Lecz on miał cześć dla nauki. Ten pozytywizm, który pierwotnie wydał mu się wstrętne wpatrzonym w ziemię i grzebiącym w niej, a jeden tylko znający ideał: siłę, co daje prawo do życia, teraz przed uspokojoną już nieco myślą rozłożył wielkie

karty ksiąg przyrody. Więc choć czuje poeta, że wiek ten straszny jest dla cierpiących, jednak garnie się do źródeł mądrości współczesnej. I tu rozświetla się nagle jego widnokrąg, znajduje on klucz do zrozumienia, dlaczego zginął cudny świat snów i ideałów, a także zapewnienie, że nie zginął na zawsze. Ale zauważmy, że studjom naukowym oddał się poeta, t. j. człowiek wnoszący wszędzie za sobą wrażliwość na pewne specjalne objawy życia, czy myśli. To też i teraz musiał on od razu wyczuć to, co w nauce współczesnej jest najszerszem, najśmielszym, największym obdarzone polotem: przywarł myślą i sercem do idei ewolucyi, przyswoił ją sobie, uczynił częścią swego »ja«, i ona stała mu się odtąd »zbroją w ogniu hartowaną«, która już do niego nie dopuści żadnej rozpaczki, żadnej burzy, lecz rozkaże okiem mędrca patrzeć na ten świat i życie. Ten nowy nauczyciel powiedział mu, że wszystko, co się dzieje, jest koniecznością, że sprzeciwić się biegowi rzeczy byłoby pracą Danaid i zarazem niezrozumieniem przyrody, że formy dawne, gdy im uderzy godzina, muszą odejść w cień wieczny, bo na tem polega rozwój tak przyrody, jak społeczeństwa, jak i każdej jednostki. Ta harmonia, to jedno prawo, rządzące wszystkim od największych »wirujących światów« do najdrobniejszego atomu, musiała podnieść ducha tego, który przez

pryzmat lez widział dotychczas dokoła siebie tylko rozprężenie i upadek. I znowu — jako urodzony poeta — w filozoficzne prawo rozwoju tchnął ciepło, ożywiając je duchem wartości ludzkich, i nakazał mu uległość i szacunek jako — postępowi.

Na Asnyku znać zagłębianie się w filozofów angielskich; gruntowne wykształcenie przyrodnicze skłaniało go w tę stronę, dając mocną podstawę pod strukturę pojęciową. I znowu dusza jego przyłgnęła do tej dziedziny, z której szło ku niemu ukojenie. Gmachy dyalektyczne Hegłów i Schellingów dawno leżały w gruzach, ale ten sam duch ludzki, który je niedawno powznosił, nie mógł i dzisiaj wyrzec się syntezy, objęcia całokształtu świata. Pozytywista Comte był twórcą całego systemu religijnego, pozytywista Mill uwieńczył swoją działalność wsunięciem podpory transcendentnej pod świat pojmovany jako zjawisko.

Asnyk rozczytywał się w Spencerze. Jakże radośnie uderzyć musiały jego duszę końcowe słowa jednego z rozdziałów Pierwszych Zasad: »W samej względności naszego poznania tkwi domyślne twierdzenie, że istnieje coś bezwzględnego, a rozważając sprawy myślenia, widzimy, iż niepodobniestwem jest wygnać z siebie świadomość jakiejś rzeczywistości, ukrytej poza po-

zorami, z tej zaś niemożliwości wypływa niepokonana wiara nasza w ową rzeczywistość.

A więc Absolut istnieje! Zatrzymuje się przed nim myśliciel — tu jego kres, ale rzuca się ku niemu stęskniony za ideałem poeta. Spencer dziedzinę ową oddaje świadomie pod panowanie religii i poezji. Znalazło się tedy królestwo dla tej wygnanki, tam przynajmniej ogłosić się może niepodzielna władczynią, już jej stamtąd nie wygrzyzie chłodny, trzeźwy rozsądek życiowy!

Powoli przekształcać się zaczyna świat duchowy Asnyka. Lekka mgła optymizmu rozściela się po krainie jego muzy; na twarzy, pooranej bólami, osiada spokój, na ustach wykwita »uśmiech ostatni, uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania«. Już on teraz nie zwraca się wrogo ani do małości ludzkiej, ani do »wieku bez jutra, wieku bez przyszłości«, bo wie, że to wszystko »piana, co po wierzchu pływa«, przemijające objawy; on widzi dzisiaj samo jądro rzeczy, które mu pokazał Wirgiliusz jego ziemskiej podróży: nauka. Czasami, czasami rzuca się w oczy ucznia, że twarz tego mistrza trochę jest zimna i surowa, że tym, którzy smutni, praw koniecznych bezwzględna powaga nie będzie osłoną, ni tarczą, że dla serc, co domagają się szczęścia:

Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litośnej nam światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej!

Ale to tylko — refleksya.

Wiersze jego wedle nastroju podzielić możemy na dwie grupy. Jedna to, że uznanie praw koniecznych bezwzględnej powagi nie zastąpi anielskich uśmiechów w błękicie, godzenie się na konieczność, ale tylko smutne godzenie się, że »musi zapomnieć ziemia o swych stratach, aby na nowo stanęła w rozkwicie«. Druga już wyraża tryumf ducha ludzkiego, który, gdy »przeniknął do wnętrza istnienia treść«, wie, że jedno tylko hasło dla niego w walkach i bólach: excelsior! Do pierwszej grupy należą: »Ucisz się serce«, »W walce o byt«, »Sam na sam«, »Orfeusz i bachantki« i t. d., do drugiej: »Oda«, »Nad przepaścią«, »Daremne żale«, »Dałam ci moc«, »Fale«, »W obiegu«, »Dzisiejszym idealistom«, »W zimowej nocy« i t. p. I ciągle w poezji Asnyka przewija się dylemat, jaki powinien być nasz stosunek do przeszłości i jak go pogodzić z poglądem na czasy przyszłe. Raz po raz narzuca mu się myśl, że jesteśmy niewdzięczni względem wczorajszych powag i wczorajszych ukochań, gdy dziś depcemy to, cośmy wczoraj czcili, idąc za głosem, co nam woła, że najwyższym obowiązkiem naszym jest przeciw całą siłą naprzód. Wartoby się zastanowić, co ciągnie Asnyka ku przeszłości? Czy jest to umiłowanie dawnych porządków, dawnych form społecznych? Nie,

wiersze jego świadczą najwyraźniej, że jest to tęsknota do ideałów jego młodości, ciężenie duszy poetycznej do epoki romantyzmu; zawsze we wszystkich utworach widzimy, że przeszłość jest poezją, teraźniejszość, »co naprzód kroczy wciąż wyniosła« — to zdrowy rozsądek i racjonalizm. Wszelkie konflikty przeszłości z przyszłością są usymbolizowaniem tego, co on sam przeżył na sobie.

Wreszcie okres wahań przeminął i pod koniec życia między sercem a myślą nastąpiła harmonia, ta harmonia minorowa, która się nazywa rezygnacją i która każe sercu uderzać w takt rozumu, a rozumowi śledzić badawczo wszelkie aspiracje serca. Sam poeta mówi o tem: »Prawdziwa wielkość pod nieszczęścia młotem kształt doskonały przybiera«. Aby mógł powstać ten kształt doskonały, musiała się dusza poety rozpalić do białości w ogniu klęski narodowej, poczem zastygnąć w kryształ w strumieniu wiedzy.

* * *

Takie były koleje jego ducha. Jakimże on się nam teraz ukaże jako twórca? Czy wiersze jego będą dziećmi uczucia, czy refleksyi? Spróbujemy dotknąć ich narzędziem analizy. Sam ich twórca zaraz na wstępie ułatwia nam zadanie, mówiąc: »Blyszczałem od młodości rosą uczuć nieustannie«, poczem dorzuca:

Gdy serce drży boleśniej,
To przerabiam lzy na pieśni.

— niby echo heinowskiego: Aus meinen grossen Schmerzen mach' ich die kleinen Lieder. Mamy zatem przed sobą czystej wody liryka; pisze zawsze pod drgnieniem serca, pierwszym momentem twórczym jest uczucie; — tylko, że bez zwłoki do pomocy staje rozum i bądź ofiarowuje usługi swoje jako wykonawca, bądź wciąż skwapliwie poruszenie serca w przygotowane przez siebie zawczasu ramki.

Może to jest powód, dla którego Asnyk nie może nieść przed swoim społeczeństwem »duchowego miecza«, nie może trąbą archaniola wzywać go na nowe szlaki pochodu; rozum porwać za sobą tłumów nie potrafi. Jego »pieśń idealna płynie po świecie, budzi pragnienie niebios, miłość dla ludzi«, uszlachetnia, pogłębia, nierzadko rozmarza człowieka — ale zapalić go do czynu nie może.

Asnyk jest lirykiem. Dramaty jego wykazały wyraźnie, że nie tu jego siła; opisy dobitnie stwierdzają, że nie jest epikiem. Gdy mówi o swoich uczuciach i swoich myślach, stwarza małe arcydzieła, perły polskiej liryki; jeżeli chce stworzyć całość dłuższą, braknie mu tchu; jeżeli stawia przed nami osoby, mówi przez czyjeś usta, to wyczuwamy tylko przed sobą jakieś postaci z mgły i galarety, nie widzimy

ich, słyszymy za to zawsze — autora. Asnyk jest jednym z liryków najbardziej podmiotowych w naszej literaturze. Konopnicka np. wkłada uczucia swoje w usta chłopów, to rozwija przed nami obrazki, które bądź co bądź możemy ogarnąć okiem, — Asnyk nigdy. Czy przedstawia nam bohaterów starożytnych, czy każe mówić bogom, zawsze to są symbole dwóch sił duchowych, rwących serce poety w dwie strony, zawsze są to ludzie głębokomyślni, zrównoważeni, dumający nad obowiązkami naszymi względem przeszłości i przyszłości. Dyonizosa, Achillea, Eos, Muzy, Thamyrysa trapi ten sam dylemat, co widza zgonu romantyzmu polskiego. Te przepiękne zresztą i pełne mądrości »Freski starożytne« czynią na nas wrażenie płaskorzeźb z fryzów, są tylko półwypukłe, a barw pozbawione, — jak wszystko, co wyszło z pod pióra ich autora. Jeden może fresk »Thetys i Achilles«, w pierwszej swojej części sprawia wrażenie barwne, a przynajmniej świetne, jest on niby transpozycją poetycką Rafaelowskiej Galatei — cóż, kiedy na rozslonecznione, rozigrane fale morskie i weselne stado faunów i nereid rychło pada cień minorowych refleksyj Thetydy.

Asnyka pociąga świat starożytny, raz po raz zwraca się tam po natchnienie; w wierszu p. t. »Odpowiedź przeszłości« daje nam wyjaśnienie tej sympatii. Starożytność była dla

niego epoką organiczną, przyświecał wtedy ludzkości jeden ideał, który łączył wszystkie usiłowania jednostek i spletał je jednym wspólnym łańcuchem. Tak, ale do tego świata słonecznej harmonii sam poeta wprowadza zaraz rozdźwięk swojego zwykłego dualizmu.

* * *

Weźmy jego stosunek do przyrody, najwyraźniej zarysowany w cyklu »Z Tatr«. Poeta kocha przyrodę, wrażliwy jest na jej grozę lub powaby, jednak w zetknięciu się z nią nie znać, aby ją czuł tak, jak ją czują ludzie, którzy z tej przyrody wyrosli. Uderza nas, że to pisze człowiek, którego zwykła sfera zajęć leży bardzo a bardzo daleko, że on jest tu tylko przygodnym turystą; widzimy, że to przybysz, który na chwilę opuścił swój gabinet pracy w mieście. Natura skończenie kulturalna, esteta subtelny, wrażliwy na każdy objaw piękna, musi odczuwać czar widoków tatrzańskich, jednak ani razu domacać się nie możemy drgnięcia tej najtajniejszej nici naszej istoty, która skuwa nas z przyrodą, wykazując, że my i ona to jedno. A rzecz ciekawa: Asnyka właśnie ciągle korci myśl o tej organicznej jedności. Zachwyca się górami za to, że rozumie i kocha przyrodę taką, jaką ona jest; że nie potrzebuje zbliżać jej do siebie przez urabianie jej na swoją modłę,

ADAM ASNYK.



przez ozdabianie jej sentymentalnemi podaniami lub mgłą tajemniczych legend — ale to wszystko jest wyrozumowane. Cudnie pisze we »Wstępie«, że ziemia jest matką, dobrą karmicielką, że ona nam daje i grunt 'dla naszej pracy i skrzydła dla naszych marzeń; że zrośnięci z nią jesteśmy na wieki i dobrze nam z nią za życia i dobrze będzie, gdy ona nas przytuli w śnie wiecznym — ale i ten, jeden z najpiękniejszych wierszy polskich, to poemacik czysto refleksyjny, aż wieje od niego racjonalizmem. To nie owo żywiołowe, niezróżnicowane uczucie człowieka pierwotnego, który się kocha w przepaściach, w wirach, który rozumie szmer potoku, huk burzy, jęk wiatru, dla którego wszystko drży pulsem życia i do którego wszystko wielkim głosem woła.

Perłą zbioru jest »Noc pod Wysoką«, cudowny poemacik — znowu natchniony przez rozum. Tu nam opowiada poeta, jak raz — leżąc w czarnej noc i chłodną w dzikiej kotlinie pod urwistem zboczem niebotycznej turni, — poczuł się nagle cząstką tej olbrzymiej całości, i zamiast trwogi, że jest taki mały, przejrzał naraz całą wspaniałą harmonię, na którą składały się i gwiazdy, tonące w bezdennem niebie, i wierchy poszarpane, i jeziorko, gdzie kra błędziła w wiecznym obiegu, i on ze swemi myślami i marzeniem o nieskończoności. Może będzie cha-

rakterystycznym dla natury poety szczegół, że nie widok tych urwisk i jezior i piargów i zachodzącego słońca, co złociło szczyty, gdy dolina tonęła w pomroce, że nie wrażenia wzrokowe doprowadziły go do poczucia owej harmonii wszechrzeczy, a tylko głosy, jakie słyszał w pozornej ciszy, te tysiące szmerów, niepochwytnych szeptów, »te wszystkie świata nawpół senne ru-chy«, ta cała pieśń przyrody, olbrzymi chór, w którym i rytm jego serca był głosem.

Weźmy inne wierszyki w zbioru. Plastyki tam nie znajdziemy. Tetry nie stają nam przed oczyma przy czytaniu tych perełek formy, le-dwo lekko zabarwiony jest każdy obrazek. Taki »Ranek w górach« »wdzięczy się i uśmiecha«, ale przed czytelnikiem »każdy zakręt, każdy załom« nie »wyskakuje żywy«. »Wieczór« nie-sie nam ciepły podmuch od gór, wlewa do duszy »cichą poezję światów«; »Ulewa« wprowadza ową monotonię i nudę szarych dżdżystych dni, gdy góry roztopiły się w mgłę, a słońce, zdaje się, nigdy już nie przedrze tej nieprzebitej opony.

Są to więc milutkie wierszyki nastrojowe, zupełne przeciwstawienie do tego, jak tę samą przyrodę odczuwają Tetmajer, Staff, Kaspro-wicz, »synowie ziemi«. Uderza nas w całym zbioru prawie absolutny brak przenośni i porównań.

* * *

Jeżeli jednak Asnyk w zetknięciu z rzeczywistością przyrodą był zawsze tylko estetycznie wykształconym gościem z miasta, to, gdy naturę traktuje jako filozof, umie abstrakty ująć w formy dziwnie konkretne, sypaną przenośniami, analogiami, umie zdobywcze naukowe przedzierzgnąć w klejnoty w sztuki. I tak wogóle w całej poezji swojej i w całej swojej jaźni, Asnyk jako poeta jest filozofem, jako filozof jest poetą. Za oryginalnego myśliciela uważać go nie możemy, ale filozofię tłumaczyć umie na język poezji jak prawie nikt na świecie. Z pośród wszystkich naszych wieszczów on zajmuje bezsprzecznie pierwsze miejsce jako poeta-uczony. Mickiewicz poetyzował sny mistyczne, Krasiński opromienił blaskiem swoich natchnień metafizykę filozofów-romantyków, u Asnyka mamy naukę ścisłą, prawa, systemy współczesnej wiedzy, cały program pozytywizmu, teorię poznania, psychologię doświadczalną, hipotezę Kanta-Laplace'a (przedstawioną przepysznie w wierszu »Mgławice«), teorię atomistyczną, materialistyczne pojmowanie dziejów i t. d. i t. d., niemal że wzory matematyczne, przekute na poezję i ubrane prawie bez wyjątku w szatę tak ponętą, jakby to były rzeczy, które od wieków mają swe dziezictwo w państwie Apollina.

Nieźródlna forma Asnyka jest prawie przyśłowia; kunsztmistrzostwo strof, efektywność

rymów budzą podziw zasłużony. Przytem to wszystko śpiewa, płynie tak lekko i gładko, że można nawet nie zauważyć, jak jest wytwornie wyrobione, wprost wyszukane. Nie jest to forma Konopnickiej, jakby śpiew ludu, jakby głos fujarki w noc miesięczną i od rosy perlistą, ni piosnka kozaka Zaleskiego, »niby pełna słowików topola«, ni prosta śpiewka lirnika mazowieckiego, »perła po perle ton leżąca w ucho«, to wreszcie nie język Słowackiego, co »nie mówiony, lecz z ducha błyskany«, to nie ten rytm, co

tętniący bieży,

Jakoby w rzymskiej ruinie kaskada,
Co skrzy i błyska, i dymi, i śnieży,
I płacze i grzmi, i jęczy i gada,
I swój nimfowy włos tęczami jeży.

Nie. Asnyka wiersze zachwycają nas, jako artystyczna wysoce architektura strofy, czuć, że i dla niego zwrotka jest »rytmem, nie wędzidłem«. Tylko, że jego język nie był tą rozpaloną lawą, którą z trudem przychodziło ujmować w twarde kadry; jego język toczy się zawsze spokojnie i równo, jak ciche fale rzeki na równinie; tam nigdy nie zakłębią się z hukiem bałwany, nigdy nie rozprysnie w porywie gniewu piana. Wielka śpiewność jego pozwałaby może, poparta jeszcze przez ów szczegół, zaznaczony w »Nocy pod Wysoką«, wnosić o przewadze u Asnyka

wrażeń słuchowych nad wzrokowemi, choć z drugiej strony w wierszach na sumę więcej naliczylibyśmy obrazów wzrokowych, niż słuchowych. Wprawdzie, jak już zaznaczono, obrazy owe nie uderzają nas ani plastyką kształtów, ani przepychem barw. Zwykle są to jakieś wizye nieuchwytnie, jakieś »przelotne gry światła i cieni«. Że zestawienia nie są ani niezwykle, ani specjalnie godne zapamiętania, pokaże te kilka z pomiędzy najczęściej spotykanych, jak: sieć mgły pajęczna, siać blaski różane, mgły tęczowe, chmur girlandy i koronki, błękitów jasne tło, siatki promieni, nieziemskie etery, błękitne szlaki przestrzeni, błękitna przestrzeń wód, smugi promieni i światła, — wszystko bledziuchne i takie chłodne! Obrazy Asnyka czynią prawie bez wyjątku wrażenie jednobarwnych. Gdybyśmy je mieli porównać z malarstwem, nazwalibyśmy najsluszniej większość z nich akwafortami: efekty osiąga się tylko zapomocą cieniowania, zapomocą stopniowania i rozmieszczania farby, gry barw niema na lekarstwo.

Zestawiliśmy wyżej twórczość Asnyka z dziedziną sztuki plastycznej, uczynmy to ponownie, mówiąc o snycerskiej pracy jego około strofy. Obrawszy temat, dobiera dla niego formy; dla niego niema pod tym względem trudności, umie pochwyć to rytm starej piosenki przy szpinciku, to eposów greckich, to dantejskiej tercyny,

i raz wybraną strofę rzeźbi, cyzeluje, zdobi; jest to robota wprost celliniowska.

A jednak Asnyk nie jest parnasistą. To artystyczna jego natura sama wypowiadała się w formach skończonych, on nie pisał dla popisów akrobatycznych swego pióra. Pisał, bo wiele czuł, bo wiele myślał. Główny nacisk w jego utworach należy stanowczo położyć na treść; każdy dwuwiersz już kryje w sobie głębię myśli, tylko, że do wartości wewnętrznej przyłącza się jako jedna zaleta *in plus*: harmonia z formą. Że on tych, co mówili do ludzi, nie mając im wielkich rzeczy do powiedzenia, uważał za niegodnych miana poetów, widzimy z wielu jego wierszy.

* * *

Przyjrzyjmy się na chwilę poglądom poety na sztukę i powołanie jej kapłanów. On, syn epoki romantycznej, za godne sługi »tej jasnych krain pani i królowej« poczytywał tylko wieszczów, tytanów ducha, wieszczów, biorących na siebie wszystkie bóle i krzywdy swego narodu, wieszczów, którzy przyjęli namaszczenia kapłańskie i uczynili śluby czystości i cnoty, aby innych podnosić swym przykładem i wieść ku zbawieniu. Nie można piękniej wyrazić swego credo poetyckiego, niż on, gdy mówi, jakie

święte obowiązki nakłada posiadanie mocy nad sercem ludzi:

Choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.
Nie żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem.
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swoim,
Idź sobie w grób, nieznany światu,
Bez żądy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich lez jałmużny.
Ziszczenia snów, owoców trudu
Nie pragnij tu oglądać,
Dałam ci moc nad sercem ludu,
Nie możesz więcęj żądać!

Dlatego to on wzdycha do czasów naszej wielkiej poezyi, bo wtedy wieszczce szli na czele narodu w jego pochodzie ku przyszłości, oni wskazywali drogi działania, oni byli krwią, mlekiem i miodem swego pokolenia i cały naród był z nich. Na nas spadło dziedzictwo ich wielkiego imienia, a duchem im nie dorośliśmy, to też zwraca się Asnyk do dzisiejszych poetów we wspaniałem »Upomnieniu«:

Nie potracajcie nieudolną ręką
Tej struny, która w mistrzów naszych dłoni
Brzmiała ojczyzny miłością i męką,
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni
Na skrzydłach swoich wznieśli w toń błękitną,

By Polsce jasną świeciła jutrzeńką,
Nie dotykajcie tych snów, pełnych woni,
Co ponad światem nieśmiertelne kwitną,
Bo wasza skarga bezsilna, żebracza,
Dawnej narodu wielkości uwłacza.

Niechaj spoczywa lepiej nieruchomie
Ten bohaterski dźwięk ojczystej lutni,
Niżby miał maleć wraz z ludźmi w pogromie,
I zejść do próżnych lamentów i klótni;
Niech lepiej w przeszłej swej potędze drzemie,
Gdy mu nie pora błysnąć na wyłomie,
Niżbyśmy mieli dziś, nędzarze smutni,
W niesfornym zgielku ściągnąć go na ziemię
I święte naszej ojczyzny nazwisko
Wydać na pastwę lub na pośmiewisko.

Taki krzyk tylko, co wstrząsa wśród nocy
uśpione ludów sumienia, przystoi naszej mę-
czarni: krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

W czasach, kiedy pisano te słowa, nikt się
już tak nie zapatrywał na poezję. Przepaść od-
działała ich autora od tych, co wkrótce nad
jego grobem ująć mieli w dłonie osierocone berło
poezyi polskiej, aby opiewać podmiotowe, osobi-
ste swoje strapienia, otaczając się przytem mgłą
tajemniczości niezgłębionej i chroniąc arysto-
kratyczne swe dusze od widoku szarej, poziomej
rzeszy.

Jak dalece dla Asnyka poezya była powoła-
niem społecznem i narodowem, dowodzą wiersze
poświęcone Mickiewiczowi i Słowackiemu, w któ-

rych określił doniosłość romantyzmu dla naszego życia narodowego w sposób głęboki, piękny i nieporównanie trafny: była to zamiana wydartych Orłów i Pogoni na jasny sztandar ducha, który zapewnił Polsce nieśmiertelne życie. Tak, bo:

Gdyby nie dźwięk natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemżebyśmy dziś byli, my, nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci.

* * *

Struną poetycką i struną narodową w jego duszy brzmiały *unisono*. Poezja jest czynem narodowym, odrodzenie Polski będzie odżyciem ideałów, odezwaniami się szlachetniejszych pierwiastków natury ludzkiej, zadaniem ciosu dzisiejszemu materializmowi w życiu i w duszach. Jego pojedyncze pragnienia rzutowane w przyszłość zbiegają się w jednym punkcie, tworzą wymarzoną syntezę; on wierzy, że przyjdzie dzień, w którym na całym obszarze kultury ludzkiej zakwitnie różowe kwiecie ideału. Nie boi się, że poezja zginęła; piękno wieczną jest potrzebą i wiecznie nad światem dzierżyć będzie władzę. Smutno, że chwilowo przycichło na Parnasie, ale to dlatego, że »ludzkość musi myśleć o synach, ginących z głodu, musi prawdy

powszechnie zdobywać pracą«, a zwrócenie energii w tym kierunku też jest wartościowem. I poeta godzi się na program pracy organicznej, a nawet umie go wspaniale przybrać w szatę poetycką. Jego wiersze patryotyczne mogłyby być katechizmem dla naszego społeczeństwa od r. 63-go do ostatnich wypadków.

Dość długo grywaliśmy na świata scenie
Rolę Danaid — smutną robotą zajęci,
W bezdenną otchłań lejąc krwi swojej strumienie,
Topiąc w niej wszystkie myśli, uczucia i chęci.

Teraz nam już nie wolno po tak strasznej cenie
Kupować chwili złudzeń, co bezsilnych nęci,
Dziś nam nie wolno rwać się na oślepek w płomienie,
By dźwięk imienia ludzkiej przekazał pamięci.

Dziś naszym obowiązkiem trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem.

Dziś tylko wolno naprzód posuwać się duchem
I przyspasabiać siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy.

Albo tak samo cały wiersz: »Miejmy nadzieję!«

Dostaje się i ugodowcom od tego rozbitka ostatniej próby zmierzenia siły na zamiary, i tym, co się płaszcą, co po orderzy i tytuły jeżdżą nad Newę; dostaje się i tym, co oplakują

wciąż przeszłość zniknioną, a nie rozumieją, że: »na własne mroki najlepszą pociechą zapalać światło pod ubogą strzechą« i »do wieśniaczych zstępować chat, uczucia budzić nieznanne«. To nasza jedyna broń, bo: dziś ten zwycięzcą, kto drugim da najwięcej światła od siebie. A więc do walki! — na świętą wojnę! — na wielki o prawdę bój! w obronie człowieczych praw uchwyćmy duchowy miecz! Precz ze zwątpieniem, co łamie i męskich pozbawia sił, duch ludzki nie na wieki uwielbił przemoc i strach; powoli światło się wciska, w niem nasze zbawienie, więc — naprzód!

Niech hasło bojowe brzmi
Za naszą wolność i waszą,
Za przyszłych braterstwa dni!

Cudne sonety »W oczekiwaniu jutra«, zawierające cały program naszej pracy do dnia wczorajszego, już dziś mają tylko wartość dokumentu. W oczach naszych odwróciła się karta dziejów, więc dzisiaj nowe wykwitły hasła. Ale ta »Pobudka Sewerom«, to pobudka nam wszystkim, co dziś stajemy do pracy, co na ruinie wczorajszych ideałów »przyszłości podnosimy gmach«. I tu Asnyk nam towarzyszy, i tu nie potrzebuje się lękać, że go ludzkość o głowę przerosła. Godzina, którą my dziś przeżywamy, to może właśnie świt dnia, który on przeczuł,

który ubrał w swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty. On wypowiedział hasła, które są dziś przykazaniami dla nas młodych, co »szukamy nowych, nieodkrytych dróg«. Jego poglądy społeczne to bezwzględna równość, to wolność, to uścisk bratni ludów i pokoleń. Jak w wierzeniach i w działalności swojej politycznej marzył, że kiedyś »Słowiańszczyzna cała, silna, młoda, przy bratniej uczcie ręce sobie poda«, tak i przeczuwał, że ludzkość kiedyś oczy otworzy i »w imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska«, stanie jak jedna wielka rodzina, a wtedy miłość zmaże plamy krwi, ciężące boleśnie na całych dotychczasowych dziejach. Przeczuwa jeszcze poeta i walki i szamotania się, przeczuwa, że świat jeszcze nieraz stanie w ogniu, ale z płomieni wyjdziemy czystszy i lepsi.

A kiedy myśli o przyszłości, widzi wielkiego rzeźbiarza czasów, które nadłyną: — lud. To Herakles skazany na wieczną pracę; kiedy podniesie maczugę — straszny, »a jednak stąpa cicho, najzwyczajniej, pełen zaparcia i upokorzenia«. Przecież on spełnia dzieło bohatera:

On bohaterstwo swoje mało ceni
I nie wie jeszcze czem jest i czem będzie.

Wiedzą za to bogowie, do czego on powołany, więc drżą.

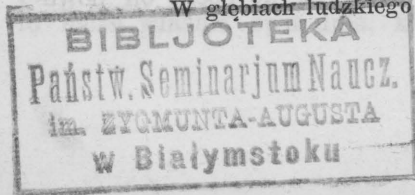
Bezsilne gniewy, zasadzki i zdrady!
Będzie zwycięzcą i przy gromów błysku
Prometeusza z więzów oswobodzi!

Innym razem napada poetę głębokie zwątpienie: nie wierzy, aby kiedykolwiek »ziemia ze sfinksowem obliczem przestała pożerać pracujące dzieci«, i ludzkość pozostanie na wieki dłużną odpowiedzi na zapytania tych, co nie znali nigdy co dostatek, a znali tylko, co trud i potrzeba:

»Gdzie jest ich prawo najświętsze do życia?
Czemu są na śmierć skazani i za co,
Gdy na chleb ciężką zarabiali pracą?»

Ale najczęstszą myślą w jego wierszach treści społecznej jest owo wspomniane przewidywanie przewrotów i kataklizmów. On wie, »że wiecznie to samo« oglądamy w dziejach przyrody i ducha ludzkiego, na gruzach starego rozpanosza się nowe, z początku destrukcyjne i brutalne, potem samo z siebie wysnuwa wyższe dobro i piękno, »a ciągnęła ta przemiana to największy cud«.

Napróżno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia,
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.



Kto przejrzał myśl twórczą, musi w tem ustawicznym odradzaniu się widzieć najwyższą doskonałość.

Wszystkie rozpatrywane dotąd pierwiastki zobaczymy raz jeszcze przelotem, podziwiając, jak one wszystkie razem złożyły się na przedziwnej urody kryształ: »Nad Głębiami«.

* * *

Ten cykl 30-tu sonetów to cała filozofia Asnyka, jego credo myślowe, skończony pogląd na świat, cykl, chyba jakiemu podobnym może się poszczycić niekażda literatura, a przytem pod względem formy skończone arcydzieło, owiane duchem prawdziwej poezji, przesiąknięte najgłębszem, najszlachetniejszym uczuciem.

W tych 420 wierszach wypowiada się przed nami człowiek, który »w swego wieku łonie całą jego myśl zawiera«, zglębił on plon współczesnej pracy ducha i teraz w tem małym arcydziele roztacza szeroko jego obraz, idąc od ogółu do szczegółów. Zaczyna od pojęcia samego wszechświata, aby schodząc po szczeblach do coraz mniej ogólnych jego zjawisk, wykazać cudowną harmonię, rządzącą wszystkimi szczegółami, przekonać, że na całym obszarze bytu dzieje się według tych samych praw.

Taka jest, jeśli tak można powiedzieć, »me-

toda wykładu«, myśl autora szła po drodze wprost przeciwnej. Punktem wyjścia jego natchnienia i tu było uczucie. Szło mu o tę, którą w młodzieńczych marzeniach widział

Z twarzą podobną do Najświętszej Panny
I blask swych włosów siejącą poranny,

więc wzbil się aż do zenitu widnokregu duchowego, aby stamtąd ogarnąć sokolim wzrokiem jej przyszłe losy.

Przyjrzyjmy się drodze, jaką odbył, aby przynieść dla siebie wieść pożądaną. Zaczyna, jak już wiemy, od określenia pojęcia świata i próby odchylenia zasłony, kryjącej narodziny kolosu.

Na początku była noc i pierwotny eter »bez skupienia«, czekające na słowo twórcze. Obraz niebytu w sonecie 8-ym godny jest Wed induskich.

Tylko duch świata bezustannie czuwa
I przyszłych istnień z siebie nic wysnuwa.

A więc deizm. W sonecie 7-ym czytamy o wszechświecie, że

Niesie go z sobą ta nieznaną falą,
Co poza bytem będąc, byt okala,
I wszystko z łona swego wyprowadza,
I nowe słońca w przestrzeniach zapala,
Gdy nią poruszy kierująca władza,
Co byt na głębiach nicestwa osadza.

Jest to dziedzina »niepoznawalnego«, ma więc w niej poeta swobodę dla swoich fantazyj pojęciowych. Bądź co bądź mamy dualizm, pierwiastek czynny duchowy, oraz bierny materialny. Po tem opuszczamy dziedzinę Absolutu, mamy teraz w kilku sonetach wspaniały obraz drugiej strony stworzonej: wszechświata. Ogrom jego przerasta niezmiernie zdolność naszej wyobraźni, my zatrzymujemy się już przygnieceni potęgą na »wirujących zbiorowiskach światów«; a przecie są to tylko chwilowe skupienia, »bańka, która na fali tęczy i pryska«. Wieczny ocean bez dna i wybrzeży na falach swoich toczy miliony słońc — powiada sonet 6-ty i kreśli nam wspaniały, szeroki obraz tego ogromu, dodając, że w dwóch kierunkach nieskończoności łańcuch wyciągnięty wymyka się słabemu naszemu umysłowi; raz

Niemocą myśli przedwcześnie ucięty,
A z drugiej strony ginie pokryjomu
Gdzieś — w nieskończonej małości atomu.

Te trzy sonety poświęcone są »poezyi pojęć«, metafizyce. Jest to próba rozwiązania w sposób dla nas zrozumiały zagadki bytu, wykończenia całości, jakiej nie mogą dać strzępki luźne doświadczenia. Poeta jednak, który stoi zupełnie na stanowisku nauki współczesnej, odrazu rozpoczyna cykl od wyrażenia względności naszego

poznania. Kilkakrotnie na różne sposoby, a zawsze przepięknie opisuje tę bolesną bezsilność naszą wobec świata obiektywnego, naszą niemożność wyjścia z siebie, nieunikniony antropomorfizm, i to tłumaczenie wszystkiego, zależnie od naszej podmiotowej organizacyi. Pierwszy sonet w cyklu przedstawia nam tę myśl w pięknym obrazie. Wszechświat jest ruchliwą falą, staramy się przez nią dotrzeć wzrokiem do samego dna. Daremnie: piana zjawisk zazdrośnie głąb ukrywa; schylonym nad taflą wodną ukazuje się tylko odbicie naszej własnej ludzkiej twarzy:

I nasz widnokrąg cały się obleka
Rzuconem w wszechświat odbiciem człowieka.

A sonet drugi dodaje, że tylko echo odrzuca gorące pytanie nasze:

Przywórczy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie,
I nieraz biedni za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk naszej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury.

Sonet 5-ty określa stosunek sumy naszego doświadczenia do niepoznawalnego. Gdy nie zagłębiamy się w wiedzę, wszechświat nie przedstawia dla nas tyłu tajemnic:

Lecz niech kto światło na drodze roznieci,
W miarę jak widzeń krąg się rozprzestrzenia,
Wnet obszar mroków nieprzebytych rośnie.

Przystępuje tu do pomocy wyobraźnia, która wiąże rozstrzelone nici naszego doświadczenia, ale zagadnienia bytu nie rozwiązuje.

Sonet dotąd wyliczone tworzą jakby jedną grupę. Poeta idzie zaraz dalej. Jak nie rozumiemy skąd się wziął świat, nie zmierzmy jego wielkości, ni czasu istnienia, tak nie wiemy skąd się wziął człowiek, i do jakich celów przeznaczyła go przyroda, która każe całym pokoleniom mijać nieprzerwanemi łańcuchami, jak ptakom, kiedy odlatywać poczną. Na pesymizm sonetu 4-go znajdujemy odpowiedź w sonetach, począwszy od 9-go, gdzie poeta zastanawia się nad tem, co jest nieśmiertelne. Ponieważ byt wyobraża on sobie jako stawanie się, jako ciągły ruch, więc zdaje sobie sprawę z tego, że i to przemijanie pokoleń jest jednym z objawów prawa *πάντα ῥεῖ*. Są jednak rzeczy wśród świata wartości ludzkich, które nie przeminą, to właśnie ta »wspólnych źródeł samowiedza, co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata«; to zaś wszystko, co od ogniw duchowych wszechświata oddzielone jest wiedzą egoizmu, to jest prochem, to poza grób nie uleci. Pokolenia mijają jak w kalejdoskopie, ale jest nić, co utrwała ich zdobycze i wiąże ich różne wartości — to pamięć. Człowiek przywiązuje się do dóbr doczesnych, do znikomostek i dlatego ich przemijanie boli go i ziębi, a śmierć ukazuje się jako pier-

wiastek destrukcyjny. Ze stanowiska wyższego horyzont się zmienia: w związku z wszechświata ogromem człowiek patrzy już bez trwogi na tę wielką potęgę i dostrzega, że na wijącej się wstędze czasu zagłady cząstkowe są złudzeniem, myśl twórcza trwa i rozwija się z niewzruszonym spokojem poprzez kaskady stuleci. Pył ożywiony, co w przestrzeni krąży, zanurza się wprawdzie w cień śmiertelny, lecz zaraz nowy świt budzi go z martwoty. Z tego wysokiego punktu obserwacyjnego śmierć ukazuje się oku jako chorąży ciągłego postępu, oczyszcza drogę, aby ci, co się rodzą, mogli rozwijać swobodnie cały zasób swego ducha. Taka jest konieczność, tak wygląda prawo, nazwane prawem ewolucji. Poeta jednak zabarwia byt wartościowo i oto ta konieczność staje przed nim jako etycznie dodatnia. Rozwój prze nietylko naprzód, ale i wstecz, i martwota przekroczy kiedyś próg życia, i w kamieniu drzemie duch, czekający swojej zorzy, a tak cały świat coraz to się uduchowia.

Na tem szerokim tle buduje Asnyk swoją etykę. Jest ona systemem najpodnioślejszym ze znanych, godna stanąć obok spinozizmu. Jedną jest dewiza naczelną: odpowiedzialność wspólna człowieczeństwa. Ludzkość wyrosła z jednego pnia, którego korzenie tkwią w pokładach najgłębszych, niedostępnych naszym badaniom; pokolenia i jednostki — to gałązki i listki wieńczące

konary tego drzewa. Społeczeństwo w myśli Asnyka wygląda jak krzak koralu, złożony ze zrosniętych organicznie indywiduów, gdzie zasadą jest: jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego: jedna rodzina, jeden duch, który wszystko ożywia — jedyny. Twardy obowiązek wzajemności każe nadto odpowiadać przeszłości za teraźniejszość, a na nas spadnie kiedyś brzemień za winy tych, co po nas przyjdą: bo jak my wyrosliśmy na niwie dawnego porządku, tak sami jesteśmy siewcami przyszłych ustrojów. Za to szlachetność jednostki pada blaskiem na całe pokolenie, które bohatera wydało.

Rozumie poeta, że utożsamianie ewolucji z postępek jest czysto ludzkie i tłómaczy się z niego w sonecie 25-tym. Jednak natura bezcelowa nie może się pogodzić z naszym ludzkim sposobem myślenia, więc:

Wiecznym prawom, co w swem łonie chowa (przyroda)
I konieczności, co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłómacząc jej słowa.

Mając już teraz grunt, po którym stąpa pewnie, poeta pozwala nareszcie odezwać się sercu; i na przygotowane tło rzuca problemat, który był osią jego życia duchowego. Bo oto wchodzi do gmachu pojęciowego »Ona« i pyta Pytyiwiedzy, jak wobec tych praw, rządzących swia-

tem, jej los w przyszłości wypadnie. I ten, który dopiero co zmierzył się okiem z nieskończonością, który zrozumiał myśl przewodnią dziejów, opowiada sercu, że rozwój każdy ukazuje nam dwie fazy: wzrostu sił i upadku, że w historii przeplatają się bez końca epoki organiczne i epoki schyłkowe, epoki rozkładu, tak jak mamy wieczór i świt, młodość i starość, śmierć i odrodzenie. To też gdy mrok pozorny kładzie się na życiu narodu, tysiące kielków drży już oczekiwaniem narodzin, »kiedy je oświeci brzask nowych wiosen lub nowych stuleci«. Duch jest nieśmiertelny, więc naród żyje nie tylko wtedy, gdy ma swoje państwo i rząd, on warunki swego istnienia nosi we własnej piersi, gdzie nie dosięgnie łańcuch, co szyję okala. Duch wyjdzie tryumfalnie z każdej kaźni cielesnej, ten duch, o którym wiemy, że wciąż się podnosi i doskonali, że dąży naprzód i wyżej. A więc i »Ona« nie zginęła i nigdy nie zginie, pod warunkiem jednak, że jej idea stanie się jednobrzmiącą z ideą postępu i światła.

I to są akordy końcowe przepysznego chóru sonetów:

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły,
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie,
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie.

Musisz zatracić nie jeden rys miły
I wdzięk w dawniejszym podziwiany czasie,
Lecz nową postać wziąć i nowe siły,
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem.

Lecz przystrojona w królewski dyadem
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną, choć będziesz tą samą.

* * *

Niech to będzie ostatnie dotknięcie w tym szkicowym portreciku twórczości poety. Te sonety wyrażają nastrój jego ducha w ostatnich latach życia; jesteśmy w świątyni, do której wprowadziły jego serce obywatela długie lata nateżonej pracy myślowej. Żadne uczucie, co się z życiem osobistym wiąże, żadne samolubne pobudki czy pragnienia do tej duszy wyzwolonej już nie mają przystępu. Czyni on chwilami wrażenie świętego induskiego, co zrzucił z siebie wszelką łuskę doczesności, przejrzał zakusy ludzkiej Mai, więc zatonął w kontemplacji tego niedostępnego zwykłym śmiertelnikom bytu, co się kryje poza pozorami. Z ostatnich kart Asnyka wieje duch pogody, chłodnej może, bo to serce w męczarniach utraciło bezpośredniość w odczu-

waniu radości, lecz bądź co bądź nie gnie się, i niby cyprys strzelisty dumnie i spokojnie stoi nad mogiłą ideałów naszej poezji, patrząc w niebo chmurne, z którego jednak kiedyś znowu buchnie pęk słonecznych promieni. I on, który, podobnie jak jego największy imiennik, nie zaznał szczęścia, bo go nie było w ojczyźnie, zamyka oczy z cichem życzeniem szczęścia i błogosławieństwem dla nas, »zwycięzców młodych«. Nie okażmyż się niewdzięcznymi i odpląćmy mu tem głębokiem uczuciem, które podyktowało i napisanie tego króciutkiego wspomnienia, jako odpowiedzi na jego prośbę, wyrażoną pod adresem tych, co po nim przyjdą:

Na godach życia duchem i ciałem
Inni już będą przytomni,
Lecz niech ta, którą tyle kochałem,
Choć czasem jeszcze mnie wspomni.

